Rozmaitości

DNIA 27. CZERWCA Ner 26. 1835 ROKU.

GÓRNICA.

POWIEŚĆ.

Wypis z rękopisma z r. 1706.

Ultimis Junii Anno Domini 1701 o nieszpornéj godzinie przejeżdżałem mimo wioski; podróż miałem pilną, bo *ante Dominicam latere* wypisany w sprawie mojéj był rok, a droga niepospieszna; alić w kościołku, co się wznosił śród piasków na pagórku, zadzwoniono we wszystkie dzwony. Byłato oktawa Bożego Ciała. Wspomniałem na Gawrockiego mecenasa nieboszczyka: Panie, świéć jemu! wspomniałem co mawiał: »Msza ś. a nieszpór nikomu czasu nie weźmie,« i jako nie raz nie dwa, luboć przypadały sprawy o nieszpornym czasie, Pan Bóg nie dopuścił żadnéj upaść *per non sunt* wtenczas, kiedy strona słowa Bożego słuchała w kościele. Więc zawołałem na woźnicę by stanął, i ścieżką biegłem do kościołka.

I wszedłem weń; mały byłto kościołek, nizki i ciemny, ludem napchany; chociaż połowa gromady na cmentarzu stała. Godziłoby się inny Bogu Wielkiemu wystawić kościoł; ale jakem słyszał, z dwóch parafii kolatorów: jednego nie stać na budowę nowego, drugi, stolnikiem go tytułują, zamożny obywatel, wyrobił sobie u biskupa przywilej na kaplicę we dworze, trzyma kapelana swego, o kościoł parafijalny nie dbając. Żeby tak na mnie, podeszłym i schorzałym staruszkom tylko pozwolilbym nabożeństwo domowe; nie dobrzeto kiedy chrześcijanin się leni odbyć drogę do powszechnego kościoła. Alem nie bocian, abych świat czyścił.

Jak się rzekło, kościoł był pełny, ale luda pospolitego; niewiast po prawéj, i chłopstwa, które od lewéj ściany gniotło się w ciżbie; z państwa i *honoratiores* nie dostrzegłem żadnych. W piérwszéj ławce siedział chłop w górnicy, co mnie zadziwiło nieco, żem go tam widział, a więcéj, że się modlił z książki, snać chłop jakiś pismienny; ale wystawić sobie proszę zadziwienie moje, kiedym postrzegł na palcu jego prawéj ręki sygnet; ale to krwawnik ogromnéj wielkości z klejnotem herbowym; cobyto znaczyło? daremniem łamał sobie głowę nad tą zagadką.

W drugiéj ławce siedział w kapocie człek jakiś z wąsiskami; z miny i czupryny wziąłem go za podstarościego; tudzież obdartuś jakiś, snać pisarzyna dworska, przy nim zabiérał miejsce; daléj frajciner. Jam nie patrzał na niewiasty, jakoto w kościele nie przystoi, ale i żadnéj tam nie było młodéj i ładnéj; trzecia ławica była próżna, tam siadłem.

Po nabożeństwie, które, dając świadectwo prawdzie, odbyło się uroczyście i ku zbudowaniu każdego katolickiego serca, powiém co się daléj działo.

Kiedy przyszło do kropienia, ksiądz doszedłszy do ławek, miasto potrząsnąć kropidłem, chłopu owemu w piérwszéj ławce siedzącemu z uniżonością i całą atencyją i konsyderacyją podał kropidło do umaczania w niéj palców; łysinę zaś podstarościego i czépki niewiast polał dobrze, i mnie święconéj nie żałował wody. Otoż rzekłem do siebie: »Dziwna to i niezwyczajna taka dla prostego wieśniaka jednego excepcyja.« Ale nie na tém koniec: z większém jeszcze zadziwieniem mojém widziałem — na własnem oczy widział — idącego od ołtarza prosto ku owemu wieśniakowi, idącego mówię księdza plebana z *patyną* i prezentującego ją chłopu onemu do pocałowania. I chłopisko owe w górnicy, odbiérało takim sposobem honory i dystynkcyje dziedzicowi

tylko należne; omało w głos nie zawołałem: »Co tego, to za wiele!« i jakem długo na świecie żyw, nie pomnę, bym coś podobnego gdzie był widział, czytał albo słyszał.

Skoro wstał ten wieśniak dziwnego nabożeństwa i ku wejściu się miał: podstarości z całą atencyją podał mu kapeluch i laskę białą, i przodem idąc rozpychał ludu ciżbę, która cisnąc się w kąty, wolny robiła temuż przechód. On zasię chłop, pomimo czynionych mu rewerencyj, jakoby jakiemu senatorowi, nie wzbijał się tém w pychę; owszem, jeźli mam rzec prawdę, szedł pokorniuteńko, w środku kościoła klęknął, ucałował ziemię, a na cmentarzu sypał tynfami między żebraków, a sypał hojnie.

Wszystkie te dziwne rzeczy nie chciały się w mojéj pomieścić głowie; myślałem cobyto był za chłop? i gadałem tak do siebie: »Pewnieto sołtys bogaty, może wójt; ależ są sołtysi i wójtowie na świecie, a takich nie odbierają honorów. Ciekawości mojéj nie mógłem poskromić, zagadałem więc w téj materyi do jednego z wieśniaków, i odebrałem odpowiedź taką: iż ten chłop, co w pierwszéj siedział ławce, chociaż ubrany w górnicę, przecież nie chłop, ale pan i dziedzic na Charłupach wielkich i małych, Charłupski się zowiący... »Czy być może?« zawołałem. — »Jużcie być może, kiedy tak jest,« odparł wieśniak. »Ależ mój ojcze, trudnato rzecz dla mnie do pojęcia, czyli wam to nie wiadomo, przezco dziedzic dwóch wiosek odzienie nosi wieśniacze? toć musi być dziwak jakiś.« — »Czy dziwak, tegoć waspanowi nie powiém, ale przez dziwnę przechodził koleje życia. Nosił się dawniéj po szlachecku, przy szabli zawdy; a kiedy w szatach chadzał szlacheckich, złyto był człowiek; dzisiaj mówią o nim, że dobry, a serce, oto na ranę przyłożyć.« — »Z odmianą odzieży do tyla się zaś odmienił?« zagadałem. — »Jako żywo,« odrzekł wieśniak; »Bóg zesłał na niego nieszczęście; po nieszczęściu stał się jakby inny, a dla czego wieśniaczą wdział na siebie siermięgę, o tém długo śpiewać, mój panie. A śpiewać darmo, boli gardło, mówią ludzie.« — »Macie prawdę,« rzekłem, »ależ wzdy jest karczemka przecie jaka taka przy kościele?« — »I nie jedna, sześć wiosek należy do parafii, a każda ma swoję karczmę przy kościele.« — »A w karczmie piwo; nie prawdaż?« rzekłem. — »I miodek się znajdzie.« — »Jeżeli dobry, to się napijemy.« — »Tém nie gardzić...« odpowiedział ów. Tak rozmawiając szliśmy ku gospodzie, a idąc już zaczął wieśniak swoję powieść, którą króciuteńko, jako pamiętam, tutaj spisuję, dla wiadomości i nauki potomnych:

Charłupski, dziedzic na wielkich i małych Charłupach, po smierci rodzica, który był podwojewodzym w powiecie, a jak mówią wszyscy, zacny był i dobry pan; kochany od swoich, szanowany od obcych. Owóż po śmierci letniego już podwojewodzego, niedorostek jeszcze synal, ten oto, któregom w kościele widział, na wojence kilka lat młodocianych spędziwszy, objął ojcowską grzędę. Alić pokazało się zaraz, że się daleko od zacnego swego odrodził rodzica: warchoł, zawadyja z sąsiadami zaraz wszedł w poswarki nieprzystojne, i w nieuczciwe kłótnie, a na poddanych bicz boży; dręczył za najmniejsze przewinienie, więził, katował, a wzbity w pychę, ubiłby na miejscu chłopa, gdyby go nie był uszanował czapką i tam daléj.

Dziesięć lat już upłynęło od śmierci rodzica; nowy postępując w wiek dojrzalszy, stawał się coraz większym zrzędą, a w dumie i nadętości niesłychanéj, istnym dziwakiem. Cóż się tedy dzieje? Przechodząc lasem, napotkał chłopa, który dźwigając wór ze zbożem na plecach, wracał do chaty z pola. Ponieważ przechodzący, mimo poddany, nie uchylił przed nim czapki, a nié miał jéj jako uchylić, bo w obojéj ręce dzierżał wór ciężki, zelżył go ostatniemi słowami, świsnął na gajowych; chłopa związać, i związanego do dworu zapędzić, okuć w dyby, i do lamusa zamknąć kazał. Czwartą niedzielę już jęczał nieborak w wilgotnym lochu. Płacz i lamenta żony i drobnych uwięzionego dziatek były daremne. Owszem żebrzącą kobiecinę nieludzkim sposobem wychłostał, a biedne, na pół nagie dzieci niebożęta poszczuł psami. I instancyje księdza plebana za niewinnym nic nie pomogły. Odpowiedział nalegającemu księdzu Charłupski: »Trzeba tych chamów nauczyć uszanowania dla pana, a zuchwalstwa oduczyć.« Trwało to uwięzienie, jak wspomniałem, cztéry niedziele. Ale cóż się dzieje.

Właśnie pod tę porę pan Charłupski najechał bez prawnego tytułu na las sąsiada,

zamożnego pana stolnika; zburzył i rozkopał graniczny kopiec; nie dosyć tego, w lesie stolnikowym nacechował swoją cyfrą kilkadziesiąt sztuk drzewa. Kiedy o tém stolnikowi znać dano; pan ten zamożny, właśnie co obrany deputatem na trybunał lubelski, zatém Jaśnie Wielmożny, strasznym się uniósł gniewem na zuchwałego szlachetkę, co się poważył najechać go w jego spokojnéj posessyi; a gniewowi swojemu dając się powodować, kazał całéj swojéj zebrać się gromadzie, uzbroić w cepy i kosy; marszałkowi zaś swemu dając dowództwo nad gromadą i dworską służbą, dał temuż do działania instrukcyję na piśmie, któráto nadworny pisarz na pargaminie wysztychował; miała podpis stolnika, pieczęć herbową i zawiérała rozkaz: Szlachcica najechać w nocy, porwać go, okuć w dyby, i zawlekłszy na granice lasu, kijami przymusić do usypania kopca na powrót, i nie puścić, aż kopiec usypie. A ponieważ ośmielił się Charłupski wybić swoję cechę na drzewach stolnika, rozkazał stolnik nacechować czoło Charłupskiego cyframi stolnika; rozkaz ten zakończył się témi słowy: »Tak chce Jaśnie Wielmożny stolnik, tak być musi. *Sic volo, sic jubeo.* Ani Swięty Boże jemu nie pomoże.«

Chociaż przygotowania do téj na szlachcica wyprawy odbywały się tajemnie; przecież nie bez tego, żeby zagrożony szlachcic nie był miał jakiéjś, choć niedokładnéj wiadomości o pana stolnika zamiarach; albowiem zaraz z wieczora do odporu się sposobić zaczął, i co było strzelb we dworze, w oficynach, te wszystkię ponabijać, a pachołkowi każdemu w dobrą pałkę się opatrzyć kazał. Trwoga i niepewność nie dozwoliła zamrużyć oka, i czeladź nie kładła się téj nocy na sienniki, ale każdy gdzie usiadł lub kucnął, tam się też i zdrzémał, tam spał, tam chrapał. Kiedy oto zaraz z północka straszny się rozlegał w koło domu hałas, tartas, i krzyki i wrzawa; i pukło po kilka razy z rusznicy: za jednym wystrzałem brzękły szyby w oknie, za drugim zadzwonił dzbanek stojący na stole i rozsypał się w szczerby.

»Gwałtu ratujcie!« wołał Charłupski. — »Uciekajcie!« wołała czeladź, na poły jeszcze w marzeniu sennėm; rozbiegła się, rozpierzchła i znikła gdzieś w nocy, jak kamień w wodę. Daremnie wołał pan ratunku, nikt go dać nie mógł, bo nikogo nie było. Dopiéro to strach niewypowiedziany ogarnął opuszczonego; nie wiedząc sobie rady w takiém niebezpieczeństwie, gdzie i o życie chodziło, biegał po izbach, załamując ręce; to do pięciu ran Pana Jezusa, to do Matki Bolesnéj się uciekając, polecając się, *vota* robiąc i t. d. Już mieszkanie otoczone gromadą ludzi, ani myśléć z domu uciéć. Już walić zaczęli do sieni, do okienic, ostatnia ucieczka do lamusa; lamus ostatnie schronienie. Bieży tedy, tchu mu nie staje; bieży, pod pachą szkatułka, w ręku jednym klucze, w drugim na prędce z sąsieka porwane kosztowności po rodzicach pozostałe; czepiec złotolity nieboszki matki, bóty safianowe ojca, perełki i pióro czaple, i kapę pochwycił ślubną prababki, z długim ruchem, te włokąc za sobą, biegł do sieni, do lamusa. Drzały mu ręce, ledwie było czasu otworzyć zamek, i zatrzasnąć go znowu za sobą, już wywalone były drzwi do sieni, najezdnicy hurmem i wrzawą wpadli do domu; wrzeszcząc: »Gdzie szlachcic! szukać go!«

Czyli dom Charłupskiego doznał losu zdobytego szturmem miasta? opowiadającemu nie było wiadomo; słyszał jednak o wielkich stratach, jakie poniósł przy téj okazyi pan Charłupski; szczęście jeszcze, że żadnéj nie pokazało się straty w ludziach. Rozpierzchło się wszystko, co żyło, wyjąwszy psa Tyrana, który jako stróż wierny nie opuścił domu niebezpieczeństwem zagrożonego, ale widząc przemoc nieprzyjaciela i daremny ze swojéj strony odpór, zaszczekawszy kilka razy na gwałt, upatrzył sobie kryjówkę pod schodami, i w niéj schowany, przysłuchiwał się wrzawie i głosom obcych ludzi.

Po kolei wracam się do Charłupskiego; ten zaledwie przypadł do lamusa, i żelazne podwoje zatrzasnął za sobą, wycieńczony na siłach padł na ziemię, jakby bez duszy, i bez przytomności prawie leżał czas długi.

Mocne i gwałtowne pukania w drzwi żelazne lamusa obudziły go na nową męczarnię, otworzył oczy i dostrzegł w ciemności stojącego przed sobą człowieka. Wrzasnął z przestrachu; byłto bowiem ów wieśniak, trzymany od kilku tygodni w lamusie za małe przewinienie, za nieuchylenie przed dziedzicem czapki. Otruchlał pan na widok chłopa,

któremu krzywdę wyrządził, którego niesprawiedliwie katował. Mniemał się być zgubionym, i załamując ręce z pokorą dotąd obcą jemu, żebrał litości — żebrał przebaczenia u skrzywdzonego... Dobre człeczysko, ulitowało się nad niedobrym panem w nieszczęściu i tak się odezwało do niego:

»Wielką wyrządziliście mnie biednemu krzywdę. Bogu zdacie liczbę z postępku waszego; może Bóg to karze was dzisiaj i uciska, za uciskanie ubogich. Ja pomsty na was wywoływać nie będę, ani zemsty pragnę; Bóg świadkiem! i gdybyto w mojéj mocy było, radbym was ratował w biédzie, ale jakim sposobem? nie moja to głowa; nie wiém co się dzieje, i jakieżto licho napędziło was do lamusa, i takim napełniło strachem?«

Charłupski opowiedział krótko rzecz całą. Wieśniak pomyśliwszy trocha i podumawszy, tak się odezwał: »Szturmują do lamusa i niechybi drzwi wywalą, wstyd i sromota czeka was panie, skoro gwałtem przymuszą was do sypania kopca, i napiętnują czoło, kieby zbrodniarzowi jakiemu.

»Matko wielkiego miłosierdzia!« zajęczał Charłupski, »bodajem wszystko stracił, jeno takiej nie doznał hańby.«

»Tak mi Boże dopomóż,« rzekł wieśniak, »nie doznacie tego; posłuchajcie jeno, co wam rzeknę, i zróbcie to, co wam poradzę.«

»Ratuj mię, dobry człowieku! stokrotnie ci nagrodzę, i każdego, któregom tylko skrzywdził kiedykolwiek mową lub uczynkiem: obiecuję poprawę; moja wina, moja bardzo wielka wina!«

»Kiedyć obiecujecie panie poprawę, i żałujecie za grzéchy, toć Bóg i swojéj nie odmówi wam pomocy, i wybawi z téj biédy. Zróbcież tak, jak mówię: Zróćcie co prędzéj z siebie wasze szaty, a obleczcie moje wieśniacze. Wsadźcie na głowę czapę moję i wdziejcie górnicę; skoro odwalą wrota do lamusa powiéma, żeśmy poddani dziedzica, że nas tu zamknął i katował, że nam krzywdę wyrządził. Oni dadzą temu wiarę i wypuszczą nas na wolność; niby na przekorę panu.

Wstąpiła dusza w Charłupskiego, a myśli ożywione tą nadzieją rozweseliły się nieco, przystał więc chętnie na wszystko; ale skoro wieśniak zażądał, ażeby rozkuł dyby, któremi skrępowane miał nogi, nie dowierzając zwrócił na niego spojrzenie, i nowa trwoga opanowała serce, azali wieśniak nie myśli o zdradzie? i tym końcem pragnie uwolnić się z kajdan. Ale z tamtéj strony coraz silniéj bito, i drągi już zakładano pod zawiasy.

Wieśniak nalegał na pana, nie było czasu do namysłu. »Stań się wola twoja!« zawołał Charłupski, i z całém podaniem się losowi, jaki go czeka, uczynił wszystko. Przebrał się po chłopsku, uwolnił z dybów wieśniakowi jednę nogę, a natomiast włożył swoję prawą, i tak oba z wieśniakiem w jednych dybach zamknięci, czekali, co się daléj dziać będzie; ukrywszy wprzódy zabrane kosztowności w kryjówce. I pokazało się, że wieśniak nie był zdrajcą, a rada jego była dobra rada. Marszałek pana stolnika, wywaliwszy drzwi lamusowe, zastał w tym lochu dwóch chłopów więźniów, przez dziedzica męczonych, puścił ich na wolność, a nie znalazłszy nigdzie dziedzica, wrócił powrotem do domu, splondrowawszy dwór Charłupskiego.

* * *

W kilka dni potém dyktował pan stolnik pisarzowi nadwornemu swemu co następuje:

»*Ultimis Augusti hora matutina.* Urodzony pan Charłupski przysłał na dniu dzisiejszym do Jaśnie Wielmożnego deputata trybunału lubelskiego, stolnika sandomirskiego, list, w którym submitując, i ścieląc się pod stopy Jaśnie Wielmożnego, do winy się przyznając, uniżenie i pokornie, i z całą modestyją przebaczenia żebrze, ucieczki szukając *sub umbra alarum* Jaśnie Wielmożnego. Z téj konsyderacyi, że wspaniałomyślność cechuje wielkie dusze, Jaśnie Wielmożny deputat na trybunał koronny, przyjął tę pokorną submisyją, i końcem okazania łaski swojéj urodzonemu Charłupskiemu, wzywa go do stawienia się na dniu niedzielnym w zamku Radgoszczy.« — Tyle słów napisał pisarz.

Charłupski stawił się na dniu i miejscu wyznaczoném. Nastąpiło z jednéj strony wyznanie winy, z drugiéj przebaczenie, a urazy i krzywdy wzajemnie sobie wyrządzone utonęły w kielichu, spełnionym za zdrowie Jaśnie Wielmożnego. — Ale dziedzic na wielkich i małych Charłupach Charłupski, widząc w nieszczęściu, które przebył, oczywistą niebios karę za grzéchy, a mianowicie za pychę swoję, postanowił od dnia tego, aż do ostatniego

dnia życia, nosić wieśniacze odzienie. Raz za pokutę odpowiadającą grzésznikowi z pychy, powtóre z téj przyczyny, ażeby ta szata wieśniacza przypominała mu zawdy, iż odzieniu wieśniaczemu winien był swoje od sromoty wybawienie. Ale odtąd i innym zaczął być człowiekiem, i nie był panem, ale ojcem swoich poddanych; a wieśniaka, którego trzymał długo w niewoli, uwolnił na wszystkie czasy od wszelkiéj pańszczyzny i danin, czyniąc go zupełnie wolnym człowiekiem.

Ta historyja pana Charłupskiego, uczy nas, iż jakie bądź, Bóg mądry i sprawiedliwy na ludzi spuści nieszczęście, woli Jego najświętszéj poddać się, i tę szanować mają, a na niefortunność nie wyrzekać; albowiem wszystko, cokolwiek się dzieje na tym świecie, jako się dzieje z woli i rządów Boskich, tak też wszystko służy ku dobru naszemu, a najsroższy nieszczęścia cios bywa częstokroć łaską największą Boga, jak się to w historyi niniejszéj *ad evidentiam* sprawdziło, gdzie nieszczęście przyczyniło się do poprawy człowieka, do uszczęśliwienia go na tym i zbawienia na tamtym świecie.

JADAM Z ZATORA.

PODRÓŻ KSIĘCIA PÜKLER-MUSKAU DO GÓR ATLASU.

Od czasu zajęcia Algiéru nikt jeszcze tak daleko w głąb kraju się nie posunął; z nie małém więc zadziwieniem widziano tam trzech Europejczyków bez żadnéj straży zapuszczających się między pokolenia Arabów, mniéj więcéj nieprzyjaznych cudzoziemcom, które jednakże tych podróżnych z wszelką gościnnością przyjęły. Szczegóły téj wyprawy, które wcale w innėm świetle malują ów lud, dotąd mlany za dziki i bez praw żyjący, winniśmy panu Habaiby, oficérowi służbowemu hrabiego Erlon, który miał od jenerała upoważnienie towarzyszyć ks. Pükler-Muskau. Z wszelkich miar nié mamy powodu wątpić o rzetelności jego podania. Habaiby jest synem byłego pułkownika Mameluków gwardyi cesarskiéj, i młodzieńcem pełnym rozsądku i znakomitych zdolności. Będąc dokładnie z językiem arabskim obeznany, mógł bez wszelkiéj trudności z owéj wyprawy korzystać. Dnia 27go lutego wyruszyli z Algiéru: Książę Pükler-Muskau, Habaiby i Haukmann, major w służbie belgijskiéj, pod strażą z cztérech Arabów złożoną. Przejechawszy płaszczyznę Metidjach, zwrócili swoję drogę przez pokolenie Beni-Mussa, które zamieszkuje część środkowéj płaszczyzny, i podgórze na małym Atlasie. Wszędy znachodzili podróżni chociaż dziką, jednak nadzwyczaj dzielną, bujną roślinność; co było niemylnym znakiem, wielkiéj żyzności ziemi, gdyby ją uprawiano, i gdyby bagna, okrywające ją w znacznéj części, osuszone zostały. Ku wieczorowi podróżni przybyli do *kaida* pokolenia, który ich gościnnie podejmował. Po skromnéj, lecz z całém sercem zastawionéj wieczerzy, zaprowadził ich *kaid* pod tak nazwaną *gourbi* (lepiankę słomą pokrytą), gdzie rozciągnięto rogoże i kołdry, dla spoczynku nocnego. W dniu następnym podróżni w dalszą puścili się drogę aż do piérwszych wyżyn Atlasu, i postrzegli z podziwieniem, że cały obszar na pochyłości gór zasiany był zbożem. Piękny *haoucz* (folwark), leżący na płaszczyznie i będący własnością pewnego Turczyna z Belidy, ściągnął całą ich uwagę. Ogrody osadzone były pysznémi drzewami pomarańczowémi, których owocem słudzy dzierzawcy szczodrze podróżnych częstowali. Około południa stanęli w Hadrach, gdzie już na nich czekali Arabowie ze śniadaniem z *kuskussu*. Posiłek ten spożyli na murawie u stóp kilku pięknych drzew, osłaniających swémi gałęziami w bliżu stojące chaty. Podróżni zabawili się nieco na targu popokolenia, który nosi miano *Souk el arbach* (targ wtorkowy). Jestto odosobnione miejsce, kędy co tydzień zbierają się Arabowie dla zamiany swoich towarów. Ustroń ta jest powabną czystym strumykiem i trzema palmami, wyrastającémi z pnia jednego. *Kaid* z Kachny, wyszedł na spotkanie podróżnych aż do Hadrah z cztérma ludźmi, którzy im daléj przewodniczyć mieli. Minąwszy państwo, należące do ich pokolenia, napadł ich dészcz ulewny, tak, że dopiéro w spoźnioną porę przybyli do *gourdi*, gdzie *kaid* wszystko dla nich przygotował. Tam zastawiono im wyborną wieczerzę, składającą się z następnych potraw: z *kuskussu*, z *pilawu* ze skopowiną, z kur pieczonych, z *dolmenu* (kapusta ryżem i mięsem nadziewana), z jaj, z pewnego rodzaju baraniéj potrawki z migdałami, z maronów, z cukrów, z chleba arabskiego, z małych na rószcie pieczonych grzanek, nakoniec z potrawy mięsnéj z jajami, mlekiem, karczochami i sokiem cytrynowym zaprawnéj. Ostatnia ta potrawa wcale przypadła do smaku naszym podróżnym. Pokazuje się, że paryscy kucharze mają swoich współzawodników na Atlasie. Chociaż ta uczta była niezmiernie suta, z tém wszystkiém naszym Europejczykom bardzoby źle smakowała, gdyby do tego nie dano nic więcéj, prócz wody z czystego źródła; lecz téj niedogodności przezornie zapobiegł książę Pükler-Muskau; jego puzdra napełnione dobrém winem z Bordeaux i szampanem, na dwóch mułach towarzyszyły mu

w ciągu podróży. Nie długo trzeba było prosić Arabów, aby pokosztowali wina; zaczęto pić za zdrowie gubernatora, a *kaid* z Beni-Moussa z upodobaniem przyjął dwie flasze szampana w podarunku. Jestto zawsze piérwszy krok do cywilizacyi. Nazajutrz puszczono się drogą idącą przez bazar pokolenia w Kachna, który odbywa się w miejscu nazwaném *Souk el jema* (targ piątkowy). Leży on w powabnéj okolicy u podnóża Atlasu. Podróżni obrali sobie przejście przez tak nazwany Mały Atlas do góry Hammal, która podług zdania Arabów ma być najwyższą w całém pasmie. Ta część Atlasu, okryta wsiami i miasteczkami, ciągnącémi się wzdłuż dolin i pochyłości gór, przytém starannie uprawna, czarowny sprawiała widok, przy nadzwyczajnéj gościnności i prostych naturalnych obyczajach mieszkańców. U stóp góry Hammel znajduje się wielka jaskinia, do któréj Arabowie zaprowadzili naszych podróżnych. Tam Turcy założyli fabrykę prochu. Jaskinia dosyć jest obszerną, u wnijścia ma znacznéj szérokości otwór, który ściésnia się potem, i kończy się wązkim przechodem, prowadzącym do samego wierzchu góry. Góra ta swoim fantastycznym kształtem przypomina owe alegoryczne wyobrażenia, którémi mitologija przyozdobiła dzieje tych gór. Patrząc na nie, pokazują się nam ogromne i bezładu rzucone bryły skał, które dziwacznémi kształty piętrzą się jedne nad drugie. Słowem, cały ten obraz taki ma pozór, jak gdyby tylko co wyszedł z otchłani chaotycznego zamętu. Podróżni zastawili *kaida* z jego orszakiem u stóp góry, i postanowili wedrzéć się na jéj szczyty. Dopiero po kilku godzinach natężonéj pracy, często wątpiąc o możności wdarcia się na te strome ściany, wędrowce nasi dotarli do zamierzonego kresu. W drodze napotkali dwóch Arabów; a że nadzwyczaj uczuli się zmordowanymi, dali im dźwigać broń swoję, która ostro nabitą była. Obaj ci ludzie, wziąwszy broń od nich, któréj w nieprzyjaznym celu łatwo mogli byli użyć, donieśli ją aż do samego wierzchołka góry, i przy powrocie, sumiennie im oddali. W kilka chwil potém, gdy ich za usługę nagrodzić chciano, zniknęli. Dolina przewyższająca wszystko w piękności cokolwiek się dotąd objawiło podróżnym, rozciąga się od stóp Atlasu, aż po morskie nadbrzeże i tworzy przestrzeń prawie na trzy mil długą, a na trzy czwarte mili széroką. Bujna, świéża roślinność pokrywa ten obszar ziemi, a dokoła na wzgórzach pasą się rozliczne trzody bydła rogatego, owiec i kóz. Lew, ryś, szakal gęsto się wiją w téj stronie Atlasu, i wyrządzają nocą niezmierne szkody w trzodach. We dnie ukrywając się w głębokich szczelinach opok, dopiéro po zachodzie słońca wychodzą z swoich legowisk za łupem. Mieszkańcy wcale nie obawiają się tych zwiérząt, które za pokazaniem się człowieka przed nim lękliwie uchodzą, ale owszem, toczą z nimi wojnę, i bogatémi ich futrami wynagradzają sobie szkody, które w trzodach ponoszą. Mnóstwo tam znajduje się grzywaczy; w ogóle, dziczyzny aż do zbytku. Kuropatwy i zające składają powiększéj części pożywienie krajowców. Lubo, kraina ta wcale nie jest leśną, jednak rosną tam palmy, drzewa oliwne i jeżyny. Aloes i kokus żyją tu na macierzystém łonie, i służą pospolicie na ogrodzenie ogrodów i łanów.

U stóp góry Hammal wypoczywali podróżni w wiosce u jednego Araba przez cztery godziny; gospodarz przyjął ich gościnnie, i częstował obfitym obiadem. Gdy potém ze wsi wyjechali i już może z godzinę byli w drodze, postrzegli doganiającego ich Araba i wołającego za nimi; podróżni zatrzymali się, oczekując go. Ten, skoro ich dopędził, ucałował naprzód nogi i ręce *kaida*, a potém robił mu tkliwe wyrzuty, że nie zajechał do niego, tylko innemu, gdy on nie był w domu, ten zaszczyt uczynił; przeto upraszał go najgoręcéj, aby się powrócił, i dom jego sławą posiadania takiego gościa zaszczycił. »Barany i kury,« mówił on, »już porznięte; kobiéty sporządzają już *kuskuss;* stajnia, jęczmień i słoma czekają na konie, a najmiększe posłanie gotowe dla gości.« Z tém wszystkiém nie podobna było przyjąć gościnności poczciwego Araba, albowiem groziła im nadchodząca niepogoda. W rzeczy saméj przez półtoréj doby trwająca słota zatrzymała podróżnych u *kaida* w Kachnie, dokąd się wrócili; wreszcie rozeszły się chmury, i oni znowu puścili się w drogę przez równinę Melidjah, do przylądku Matifux, dla obejrzenia tamże twierdzy i zwalisk rzymskiéj osady, zwanéj *Rustonium.* W ciągu drogi przez równinę postrzegli z lewéj strony Rassutę, folwark należący niegdyś do *deja.* Tutaj trzymał on swoje bydło i konie, oraz byłto skład podatku, dawanego w płodach ziemskich od *bejów* całéj rejencyi. Jeżeli te zapasy zbytnie się powiększyły, natenczas sprzedawał je na kredyt Arabom, tak, że to urządzenie uważaćby można, jako polityczny środek, dążący do utrzymania wpływu na pokolenia. Okolice Rassuty niezawodnie są najpowabniejsze i najżyzniéjsze w całéj Metidjah. Woda tam czysta i jest jéj podostatkiem; położenie gruntu wznosi się i spada na kształt fali morskich, co zdaje się najmocniéj sprzyjać rozmaitéj uprawie ziemi. Folwarek ten należy do *bejliku*, t. j: do dóbr koronnych; trudno znaleść lepsze miejsce do doświadczeń i przedsiębierstw ekonomicznych. W bliskości morza nagle odmienia się widok. Pas, na dwie mil prawie széroki, całkiem jałowy i nieurodzajny, ciągnie się wzdłuż wybrzeża. Grunt składa się z opoki, lub szczérego piasku; tu i ówdzie widać jeziorka. Gdzie niegdzie rosną jeżynowe krzaki i inne cierniste rośliny; gdzie niegdzie widać krzewy i wypróchniałe dęby, które odyńcom i szakalom, których pełna ta okolica, za przytułek służyć się zdają. Skoro podróżni nasi dostali się do przylądku Matifux, najpiérwej zwiedzili zamek, leżący na wzgórzu panującém nad rzymskiémi rozwalinami. W miejscu tém, lubo dziś opuszczoném, znajdziesz jeszcze 23 żelaznych 24funtowych dział, z których kilka zagwożdzonych. Leżą one na okopie działobitni, albowiem Arabowie odjęli lawety i wszelkie żelazne okucie. Widać także mnóstwo kul dokoła. Budowle są w najlepszym stanie i mogłyby wybornie całą kompaniją żołniérzy pomieścić. Gruzy *Rustonium* zasługują na uwagę. Rozciągają się one w znacznéj przestrzeni, co wnosić każe, że tu stało wielkie, w okrąg zabudowane miasto. Niektóre półsklepione gmachy zdaje się, że były na łaźnie przeznaczone. Dziwić się potrzeba, jakim sposobem Rzymianie, którzy tak oględnymi byli w zakładaniu osad, założyli to miasto w tak jałowéj okolicy, i nad wybrzeżem gdzie nie masz żadnéj przystani; albowiem ta część zatoki, najeżona jest skałami. Domyślać się należy, że albo powolna ręka czasu, albo nagłe jakie wstrząśnienie mogły przeistoczyć naturę gruntu pod morzem i na przyległych brzegach. Insza, dosyć szczególna okoliczność jest, że zachodnio-północno-zachodnie wiatry wieją tu bez przerwy i z wielką natarczywością, a ta własność powietrzokręgu nie mogłaby się odmienić. Przylądek wyniesiony jest bardzo nad powierzchnią morza. Twierdza leży około 50 stóp wyżéj niż północny onegoż wierzchołek, a rozwaliny rozciągają się do połowy przylądka. Podróżni przepędzili noc w pobliżu Rassuty u arabskiego *szeika*, który był dawniéj koniuszym w folwarku *deja.* Urząd ten nie miał nic hańbiącego, owszem był zaszczytnym i dochodnym. Wspomniony *szeik* jest osobliwym człowiekiem: przez swoję uroczysto-poważną postawę i dramatyczne jesta, które bardzo mu przystoją przy jego wysokim wzroście, charakterystycznéj fizyjonomii, bogatym ubiorze i jego czarnéj brodzie, którą długo zapuszcza. Nigdy nie odstępuje on od téj uroczystéj, wymierzonéj godności; służbie swojéj rozkazy daje niemémi znakami. Przeznaczył dla księcia na mieszkanie *gourbi*, która miała

dwie przegrody, jedna dla ludzi, druga dla koni. Pierwsza podług zwyczaju wysłana była rogożami i kobiercami; *szeik*, uraczywszy swoich gości wyborną biesiadą, wydzielił im mieszkanie i sam z nimi noc przepędził. Nazajutrz przez krzaki jeżynowe, które rosły w téj stronie, udano się do dzierzawy, która nazywa się *Maison Carrée*, a ztamtąd do zamku *de l'Eau gardé*, gdzie często wspominany Ben-Zegri, ze swemi Arabami z pokolenia Harribi, straż trzyma. Krajowcy mieszkają w okolicy pod namiotami z włosia wielbłądziego; byłoto jedyne miejsce, gdzie podróżni ujrzeli niewiasty arabskie. Nakoniec po pobycie tygodniowym między pokoleniami Arabów, wrócili nasi podróżni 7go marca do Algieru.

— Ze Lwowa. —

Statystyka obwodu Tarnowskiego. Obwód ten zawiera 93 m. kw., 3 miasta, 3 przedmieścia, 11 miasteczek (między temi Dąbrowa sławna wielkiemi jarmarkami na konie), 468 wsi, 44 przysiółków, 33,629 domów i 224,110 mieszk. Tarnów jest siedliskiem biskupa, urzędu obwodowego i sądu szlacheckiego; znajduje się tam gimnazyjum i księgarnia. To najznaczniéjsze miasto obwodu, nie posiada żadnych fabrycznych zakładów, chociaż w jeografijach, przepisanych na szkoły, czynią o nich wzmiankę. Liczba mieszkań. wynosi tam 4,900. Inne miasta: Ropczyce 1,200 m. i Pilzno 1,200 mieszk.

Obwód Rzeszowski zawiera 80 mil kwadr., 4 miasta, 13 miasteczek, 334 wsi, 112 przysiołków, 40,902 domów i 263,811 mieszk. Rzeszów, który prawie codzień się upięknia, prowadzi znaczny handel; tu jest siedlisko urzędu obwodowego i sądu kryminalnego; istnieje tu także gimnazyjum, do którego młodzież licznie uczęszcza. Leżajsk zawiera 3,817 mieszk. ma klasztor bernardynów, i największe w całym kraju organy. Przeworsk z 2,680 mieszk. i godnym widzenia angielskim ogrodem przy pałacu książąt Lubomirskich. Łańcut z 2,300 mieszk. z pysznym zamkiem, gdzie wiele godnych widzenia znaleść można przedmiotów, które przez podróżnych zwiedzane być powinny, zwłaszcza, że zamek ten, prócz Krakowa i Wieliczki na drodze z Białej do Lwowa, największą jest osobliwością. Miejsce to jest własnością hr. Alfreda Potockiego; znajduje się tam piękny ogród i wielkie śklarnie pełne rzadkich roślin. Łańcut wiele już razy pogorzał, ale zawsze piękniéjszy ze swoich gruzów powstaje. *Mn.*

O POLKACH. W dziełku niemieckiém: *Mahlerische Darstellungen aus Sachsen; Dresden*, 1802 8. znajdujemy wyrażono: »Trzecia sala, w zamku letnim Pilnitz, zawiera w sobie zbiór malowideł, wyobrażających same polskie kobiéty, które August II., król polski, elektor saski, ów doskonały wdzięków niewieścich znawca, z największym doborem tu umieścił. Na widok tych obrazów mimowolnie i prawie same nasuwa się mniemanie, iż Mohamet, do swego tak doskonale pomyślanego raju, zapewne także i sarmackie kobiéty przyjąć musiał; albowiem znajdziesz tu, mówię to z własnego doświadczenia, nad wszelkie twoje oczekiwania na stromych brzegach Wisły, matki rzek polskich, rozpływające się czerkieskie, rozkoszą dyszące gracyje. Widziałem z gładkiego łona wychodzących córek Sekwany figlarne łyskawice, wypadające z oczów ich pełnych zalotnictwa, słyszałem ożywiający dowcip z ich gadatliwych ustek płynący; słyszałem dumną sennorę, przez długie lata serenadami karmiącą się, za kratami jęczącą; od nieustającego ognia zazdrośnych Włoszek byłem trawiony; od szwedzkiéj mróz ziejącéj blondyny byłem przemieniony w bryłę lodu, a czarującym wzrokiem Albionowi panującéj wysmukłéj lady w zachwycenie wprawiony; pomimo tego jednak, gdybym miał nawet jabłek parysowych, najlepsze nie wahałbym się, ani na chwilę, oddać bez namysłu, wiele wdzięków w sobie łączącéj Polce, która łagodnym, lubo brzmiącym akcentem swoje mowę miarkuje attycką grzecznością, dowcipem i rozumem wiąże i zaprawia, z mniejszym ogniem niż wdziękami wabi i do użycia rozkoszy zachęca, trzymając środek między anatomicznym Stadionem i w rozkosze i bogactwa opływającym Centonem, między Cyprem, Junoną i Ateneą, jedném słowem: Piękna Polka jest najwyższym ideałem swego rodzaju!« — Zakaty, piękne musiały być nasze kobiety w przeszłym wieku! (Jana Kollára, wykład ku *Slawy Dcerze*; Peszt, 1831. 8.) S. P.

Z Krakowa. Z drukarni D. J. Friedleina wyjdzie w miesiącu lipcu r. b., za pozwoleniem cenzury wiedeńskiéj i krakowskiéj dzieło, pod tytułem: »Pamiętniki polskie w Wiedniu i jego okolicach, jakoteż inne wiadomości o téj stolicy, tyczące się Polaków, szczególniéj mieszkańców Galicyi; zebrał ks. J. F. Kluczycki (z miedziorytem).« Autor niniejszego dzieła bawił w ostatnich czasach jednym ciągiem przez kilka lat w Więdniu, i postanowił pamięć tego wypadku uwiecznić pracą, mogącą być przyjemną i pożyteczną rodakom. W tém dziele mieszcza się wykazy pomników, zbroi, obrazów, medali i książek polskich, lub o Polszcze mówiących, po wiedeńskich i okolicznych zbiorach i książnicach znajdujących się, jakoteż wyliczenie wszelkich zakładów w Wiedniu dla Galicyjan przeznaczonych lub w nich udział mających; słowem, jestto uporządkowany zbiór tego wszystkiego, co Polakowi w téj stolicy przebywającemu i poznać ją chcącemu, wiedzieć i widzieć należy. Aby wydanie tego dzieła było odpowiadającém jego treści, wypada nadmienić, że oprócz ozdóbek dodaną będzie znaczna ilość *fascimilów* i miedzioryt, przedstawiający pomnik, wzniesiony na pamiątkę widzenia się cesarza Leopolda I. z królem Janem III. po odsieczy Wiednia.

Pan Jan Tarnowski ukończył historyję panowania Henryka Walezyjusza i Stefana Batorego, w któréj obszernie nad losami dysydentów się rozwodzi. — Towarzystwo naukowe krakowskie obiecuje zająć się wydaniem historyi polskiéj Kadłubka, którego siedm rękopisów biblijoteka krakowska posiada; życzyćby tylko należało, żeby praca ta szybszym naprzód postąpiła krokiem. — Prof. liceum krakow. Kulawski, napisał historyją Szląska. — Pan Świdziński, który w Krakowie swoje zbiory książek i rękopisów starożytności polskich znacznie powiększył, pracuje nad genealogiją znakomitych rodzin polskich!!! — Wyszło tam także dziełko: Z. D. Chodakowskiego »O Sławiańszczyznie przed chrześcijaństwem« i W. Surowieckiego zdanie o pismie témże z dodaniem krótkiéj wiadomości o Chodakowskim i korespondencyi jego. (Z Pam. Pow. Krak.)

W Czeskiéj Pszczole wychodzi teraz umieszczane częściami piękne tłumaczenie romansu polskiego: »Agay-Chan« Zyg. Krasińskiego, przez Sławomira Tomiczka.

W Wrocławiu wyszło z druku r. b. wydanie trzecie znacznie pomnożone z 4 rycinami i dodatkiem o monetach polskich: »Dziejów narodu polskiego,« napisanych przez ś. p. J. S. Bandtkiego. — Wyszedł tam także: »Słownik krótki polsko-rossyjski do używania w czynnościach sądowych i prawnych.« (K. K.)

Z Moskwy. Dwa ważne dzieła dla poezyi gminnéj pojawiły się teraz w Rossyi. Jedno: *Ruskija Pjesni*, przez Cyganowa, w Moskwie r. 1834. Cyganów jest artystą dramatycznym w Moskwie; zjezdził całą Rossyje i mnóstwo pieśni uzbiérał. Drugie: *Ukrajinskija narodnyja pjesni*, wydane przez M. Maxymowicza w Moskwie r. 1834. Zbiór ten zawiera 2,500 pieśni, które stosownie do treści w różne uporządkowane oddziały. I tak dzielą się na opowiadające *(bylewyje)* i opisujące *(bytowyje)*.

Przedmiotem piérwszych jest życie wojenne Kozaków; a drugim, życie domowe; w piérwszéj części znajdują się pieśni ułożone w porządku chronologicznym. 1) Pieśni Kozaków przed prześladowaniem religijném, w czasie podlegania narodowi polskiemu. 2) Pieśni z czasów wojny religijnéj za Chmielnickiego. 3) Pieśni z czasów hetmańskich aż do zniesienia téj władzy do r. 1764.

O pięć mil od Królewca w Prusiech odkryto znaczny zbiór starych monet, który bardzo może się przyłożyć do wyjaśnienia dziejów tego kraju. Rolnik pewien orząc pole, natrafił na naczynie, zawiérające 2,040 sztuk srebrnéj monety; wszystkie sięgają czasów wielkich mistrzów Zakonu Teutońskiego. Żaden z nich **nie przechodzi** bitwy pod Tannebergiem (1410 r.).

Donoszą z Wiédnia, że dnia 15. czerwca w południu p. Józef Guzikow, Izraelita, dawał koncert w sali muzycznego zgromadzenia, na tak zwanym drewnianosłomianym instrumencie. Grę jego przyjęto z takim zapałem, iż go po każdéj odegranéj sztuce po trzykroć przywoływano śród oklasków.

Podług Berzeliusza można za użyciem odkrytego przez niego metalu, który nazwał *Vanadium*, zrobić atrament do wywabienia prawie niepodobny, i do wszelkiego użytku przydatny. Zmieszawszy **wanadyni jan amoniaku** (sól z kwasu wanadynowego i gazu amoniakalnego powstała) z **infuzyją galasową**, otrzyma się czarny rozciek, który będzie najlepszym do użycia atramentem. Téj soli potrzeba tak mało, że jéj koszt będzie wcale nieznacznym, skoro ten metal potrafi sztuka w większéj uzyskiwać ilości. Pismo tym atramentem jest doskonale czarne; kwasy zamieniają go na niebieski, ale nie wywabiają tak, jak zwyczajny atrament; alkalia byle tak dalece roztworzone, że papiéru nie naruszają, nie są w stanie rozłożyć tego atramentu, a chlor, który jak wiadomo czarną niszczy farbę, nie wywabia przecież tego atramentu, a nawet i wtedy, gdy po użyciu chloru, pismo jeszcze wodą zostanie zlane. Owo zgoła, jeźli ten atrament może być cokolwiek wywabionym, to przecież opiéra się on mocno chemicznym oddziaływaczom *(reagentia)*, które zwyczajny atrament niszczą w mgnieniu oka; jest wreszcie czarniejszym i płynniejszym od niego, bo powstaje z roztworu chemicznego, nie zaś jak tamten z osadu w rozpuszczonéj gumie zawieszonego. Pozostaje tylko doświadczyć wpływu czasu na ten atrament.

Ibrahim-basza wydał rozkaz do arcybiskupa góry Tabor, znajdującego się teraz w Moskwie, aby w kościele zmartwychwstania ponaprawiać wszystkie szkody, zrządzone przez ostatnie okropne trzęsienie ziemi, przytém otrzymał on pozwolenie otworzenia wszystkich okien w téj świątyni, które od czasu panowania egipskiego sułtana Saladyna, a zatém od 648 lat, zamurowane były. Świątynia, w któréj jest grób święty, przez to otworzenie okien zyskała na jasności, i przybrała charakter okazały, który przybywających chrześcijan napełnia radością, pokorą i religijnym zapałem. Taki sposób myślenia Ibrahima baszy, zapewnia piękną dla krajów jego przyszłość.

Szczególniéjsze *quidproquo* zdarzyło się w pewnéj belgijskiéj Abderze. Jakiś podróżny przywozi z sobą mumiję egipską. Zwierzchność miejska nie wiedząc, czy jest jaki Egipt, i czy są jakie mumije na świecie, uznaje, że to jest trup upieczony w pieciu, i że podróżny, musi być — zabójcą. Ani trunna, ani hieroglify nie otwiérają owym mędrcom oczów; chirurg miejski przedsiębierze sądową autopsiję — mumija zostaje na widok publiczny wystawioną, azali który z krewnych nieboszczyka Egipcyjanina nie pozna; nareszcie zapadł taki wyrok sądowego śledztwa: Iż ta mumija jest ziemską skorupą jakiegoś poczciwego górnika z sąsiedztwa!

Książę Ludwik z Burgundyi, wnuk Ludwika XIV. (syn delfina Ludwika i księżniczki Anny Bawarskiéj), był pełen wybornych przymiotów, rzadkich w monarsze; dla tego śmierć jego przedwczesna († r. 1712) stała się ciężką stratą dla Francyi, a mianowicie dla ludzkości. Mnóstwo jest rysów jego charakteru, które zaszczyt mu przynoszą. Najwięcéj czci dla niego wzbudza owa rezygnacyja, z którą odmawiał sobie wszystkich uciech, aby jedynie potrzebnych mógł wspiérać. »Poddani,« mawiał on, »wtedy zabezpieczeni są od nędzy, kiedy ich monarchowie wystrzegają się zbytków.«

Nie dawno odkryto w Londynie osobliwszy sposób uzdrawiania na konsumcyję, która w Anglii i Francyi mnóstwo ofiar sprzątą. Pewna młoda kobiéta z Szkocyi, która tą chorobą dotknięta powoli zbliżała się do grobu, miała zwyczaj codziennie wstawać rano i z okna swego sypialnego pokoju przypatrywać się pięknościom przyrody. Pewnego ranka postrzegła ona, jak pies domowy, który tak był chudy, iż ledwie miał skórę i kości, zlizywał świéżą rosą z rumianku. Młoda dama przekonała się, iż pies każdego dnia toż samo zwykł robić. Po nie długim czasie pies widocznie stawał się mocniéjszym, a w końcu nawet zgrubiał i stłuściał. To naprowadziło chorę doświadczyć sposobu użytego przez psa. Jakoż codziennie kazała sobie zbiérać rosę z rumianku, i piła takowę. Wkrótce poczuła znaczną ulgę; nabrała regularnego apetytu, umysł uzyskał dawną władzę — słowem, wróciła do zupełnego zdowia.

I w modzie smak mieć należy. Ileżto kobiéty utracają z zalet swoich przez śmieszność i niestosowność w stroju! O jakże mylne to zdanie, że kiedy pani X. tak lub owak ubrana, to już jedna i druga tak samo ubiérać się powinna! Pani X. może być słusznego wzrostu, białą, blondynką; a panie jesteście małego wzrostu, śniade, z czarnémi włosyma. Przeto co dla pani X. uchodzi, wam nie przystoi. Zapewne odpowiecie na to: »Moda, moda tak każe,« i tym nowym dowodem, zdaje wam się, żeście wszystko pokonały. O wiémy, że to moda tak każe, lecz moda przez tysiączne przejść może przemiany, poprawki, nie tracąc wszakże nic z piérwotnego swego kształtu, jak waryjacije muzyczne, w których *tema* ustawnie się powtarza. Osoba małego wzrostu niech się wystrzega wielkich kapeluszy, wysokich garnirowań, krótkich sukień i zbyt szérokich rękawów, jak znowu przeciwnie osoba słuszna powinna małych kapeluszy, wązkich sukień, unikać; suknia jéj ma być z jedwabiu lub muszlinu, odstająca, ze stanem długim, z fałdowanym gorsem, lub z wielką peleryną i szérokiémi rękawami; słowem, strój taki powinien powiększać szérokość, a ile można ukracać długości. Uważałem, że wszystkie śniade kobiéty przepadają za jaskrawémi barwami, jak n. p: za złocistym, pąsowym, różowym, pomarańczowym kolorem; a co wielkiém jest wykroczeniem przeciw dobremu smakowi. Trzeba miéć płeć bardzo białą i świéżą, aby się zgodzić w tym wyborze. Niebieski kolor, zdaniem mojém, najlepiéj przystoi; z małym wyjątkiem, wszystkim osobom w nim dobrze. Najmocniéj jednakże radziłbym unikać kolorów: jabłkowego, george-pigeon, kawo-mlecznego, masłowego, albowiem nikomu w nich nie może być do twarzy. Czarna barwa wszędzie za najlepszą słynie; czarno ubrana kobiéta ma w sobie coś idealnego, coś poetycznego. Owe czarujące Hiszpanki i Wenecyjanki nad inne czarny kolor przenoszą. Odzież osłania, odziéwa; ubior, dobiéra części ładnie, do całości; strój, jest połączenie części w miło-dzwięk śliczności.

Znaczenie szarad w przeszł. Nr. Rozm:
1. **Kawałek.** 2. **Kociołek.**

Redaktor: **Jan Nep. Kamiński.** Druk Piotra Pillera, we Lwowie.